Nr. 27 Rok Kraków, dnia 4 lipca 1943 Cena 40 gr.

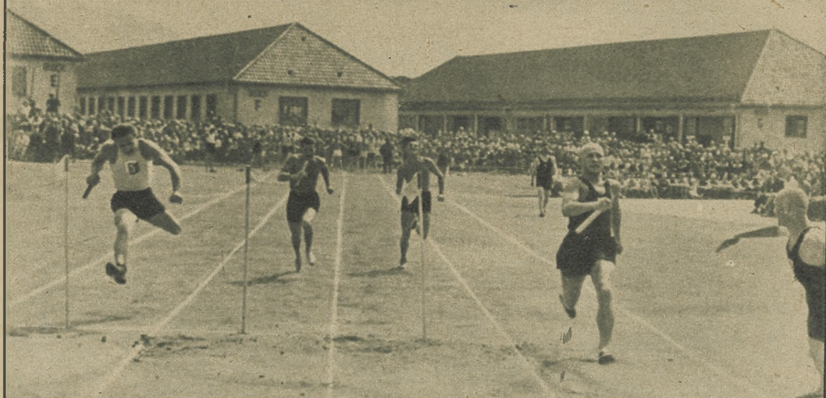
Ilustrowany
KURJER POLSKI



FILHARMONIA W HALI TURBIN

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

POLSCY OFICEROWIE W OBOZIE JEŃCÓW WOJENNYCH W RZESZY









U góry:
Polscy oficerowie w biegu na sto metrów podczas jednej z uroczystości sportowych w obozie.

ZAMIESZCZONE OBOK ZDJĘCIA, Z OBOZU JEŃCÓW WOJENNYCH W RZESZY PRZEDSTAWIAJĄ W KILKU FRAGMENTACH ŻYCIE I ZAJĘCIA POLSKICH OFICERÓW.

Na lewo:
Przy grze w szachy.

U dołu:
Pokój polskiego oficera. Obok możności prowadzenia różnych studiów, uczą się chętnie Polacy języka niemieckiego.



Powyżej: Kursy dokształcające dla oficerów.





Oficerowie utworzyli własną orkiestrę. Na prawo: Dyrygent.



Powyżej:
Świetlica znajdująca się w budynku gospodarczym.

U góry w kole:
Scena z operetki odegranej przez oficerów polskich w obozie.







Wypożyczanie książek w bibliotece obozowej.



Jedna z ulic w obozie.

MOCARZ ZWIERZĄT



SKŁAD DRZEWA
Przy pomocy trąby słoń z łatwością nadaje kierunek nawet najgrubszym pniom drzewnym. Chociaż największą przyjemnością dla słonia jest kąpiel, nie ośmieli się nigdy kłaść się w uprzęży do wody.

Ślad istnienia i zbadanie tych największych zwierząt jest do dziś nieznany, w każdym razie sięga mitycznych czasów. Boga sztuki i nauki Ganesę według indyjskiej mitologii przedstawiano w świątyniach jako głowę słonia.

Bóg słońca Indra występuje w postaci jeźdźca na Airawali, jednym z 8 mitologicznych słoni.

W ogóle w Indiach słoń jest towarzyszem bogów i dlatego od najdawniejszych czasów główną składową częścią budowy świątyni tegoż kraju jest jego głowa, tworząca cokół filarów dźwigających dach świątyni.

Hindusi wierzą, że wielu świętych podczas wędrówki dusz przemieszkiwało dłuższy czas w ciele słonia, a sam Budda podczas takiego przeobrażenia przejął na siebie postać białego słonia. — Dlatego też te słonie, bardzo zresztą rzadkie, zwane inaczej albinosy, są przedmiotem specjalnej czci boskiej u buddystów.

Starożytni Egipcjanie już na 20 w. przed Chr. znali dobrze i bardzo cenili zarówno słonia afrykańskiego i indyjskiego, cenne bowiem jego kły, jako kość słoniowa były za czasów istnienia państwa egipskiego główną częścią rocznego haraczu, składanego przez mieszkańców nędznej krainy kusz. Podobny haracz składali murzyni zamieszkujący Afrykę południową, oraz te ludy azjatyckie, które były pod zwierzchnością egipskich faraonów.

Prowadzono więc handel kością słoniową, a główny jej skład był na wyspie Elefantynie, przy ostatniej katarakcie Nilu, naprzeciw dzisiejszego miasta Assuan.

Biegli snycerze wyrabiali z niej rozmaite kunsztowne przedmioty i sprzęty.

Brały też udział słonie i w wojnach.

2000 lat przed Chr. należał indyjski słoń do składu armii zbrojnej asyryjskiej królowej Semiramidy.

Król macedoński Aleksander Wielki w r. 331 przed Chr. w bitwie pod Arbeą zdobył na Persach słonie bojowe.

W wojnie, którą prowadził Pyrrus król Epiru z Rzymianami, ci ostatni przerażeni byli widokiem nieznanych im zwierząt, a gdy ocknęli się z trwogi, zaczęli oblewać je smołą i rzucać w oczy zapalone wieńce ze słomy, co miało taki skutek, że przerażone zwierzęta uciekając w popłochu, we własnym wojsku narobiły straszliwego zamieszania.

Występują również słonie w bitwie pod Tapsus, w której Rzymianie odnieśli rozstrzygające zwycięstwo nad królem numidyjskim Jubą.

Tak te słonie, jak i te, których używali Kartagińczycy w bitwach z Rzymianami, pochodziły z Mauretanii, były to więc afrykańskie słonie.

Rzymianie nie używali słoni na wojnie, obłaskawiali je jednak do udziału w igrzyskach, dzięki czemu wytępiono doszczętnie te zwierzęta zarówno w krajach nadśródziemnomorskich jak i w Afryce północno-zachodniej. W dawnych epokach geologicznych były słonie-olbrzymy rozprzestrzenione na całej kuli ziemskiej, zwłaszcza w okresie dyluwialnym. Różniły się one od dzisiejszych szczegółami uzębienia, n. p. mamut posiadał kły zagięte ku górze, przeszło 5 m długie i był porosły długim kędzierzawym włosem. Syberyjska kość słoniowa pochodzi z tych właśnie mamutów, których ciała dobrze zachowane znaleziono w lodach Syberii. W Europie środkowej Elephes priscus tworzył odmienny gatunek. Dziś żyją tylko dwa gatunki słoni, należące do jednej rodziny (Elephantidae).

Najlepszymi znawcami słoni są Hindusi.

Rozróżniają oni zarówno pod względem postaci, jak i zależnie od niej zdolności do pracy trzy wybitne rasy zwane: kulmiria, dwasala i mierga.

Najpiękniejszym, bo jakby stworzonym do królewskiej parady jest słoń z rasy kulmiria. Silny, proporcjonalnie zbudowany o potężnej głowie i piersi z kadłubem prostym i o płaskim, ku tyłowi opadającym grzbiecie. Jest to zwierzę godne zaufania, szlachetne i poważne w ruchach o żywych, powabnych i pełnych oczach. Zupełne przeciwieństwo stanowi rasa mierga. Są to słonie niepięknie i lekko zbudowane. Mają małą głowę, wąskie piersi, duży brzuch i zakrzywiony spadzisty grzbiet. Posiadają cienką i wątłą trąbę, skóra ich podlega łatwo skaleczeniu, oczy wybitnie niemiłe.

Pośrednie miejsce zajmuje najliczniej reprezentowana rasa dwasali. Pomiędzy tymi trzema rodzajami słoni panuje zgoda i żyją w tym samym stadzie.

Słonie indyjskie żyją w Indiach przednich od podnóża Himalajów do przylądka Komoryn, w Burmie, Assamie i Siamie, też na półwyspie malajskim. Wymierają natomiast na wyspach Cejlonie, Sumatrze i Borneo. Słonie indyjskie są bardzo pojętne i sumienne w pracy. Są posłuszne swemu przewodnikowi czyli kornakowi i oswajają się łatwo. Trudne jest polowanie na nie, a jednak częste, bo w niewoli nie rozmnażają się.

Słonie są bojaźliwe i prostoduszne, a w niewoli posłuszne, łagodne i cierpliwe. — Pod tym względem przewyższają wszystkie domowe zwierzęta. Wytrzymują największy skwar słoneczny i najcięższe operacje lekarskie. W razie potrzeby np. w czasie polowania na tygrysy, wykazują dużo zręczności i odwagi.

Podczas uczty słoni w dżungli, panuje piekielny wrzask. Gdy słonie wkroczą w las, obłamują gałęzie, które po nagromadzeniu zjadają. To łamanie, podobnie jak trzeszczenie konarów, plusk ciężkich nóg w wodzie, klepanie uszami, które rozwijają nakształt parasola, oblewanie ciała za pomocą trąby, ocieranie olbrzymich ciał o drzewa, wreszcie ich kwiki tworzą ogłuszający hałas, podobnie jak szlak podróży stada słoni zostawia jakby panowanie huraganu za sobą.

W zwierzyńcach europejskich oba wymienione gatunki słoni utrzymują się dobrze, o ile mają dość miejsca do ruchu i kąpieli. — Sproszkowane mięso afrykańskiego słonia, mające smak wołowiny dodają murzyni do potraw. Specjalnym przysmakiem Arabów są trąba i nogi słonia. El-Ha





ZAPASY SŁONIĄTEK
Młoda latorośl słoni czuje się „w niewoli“ tak, jakby cała dżungla do nich należała. Szczęśliwi, bo jeszcze za młodzi, aby mogli być wprzągnięci do pracy.

U góry:
W OBOZIE POGANIACZY
Młodzi poganiacze odgrodzeni od świata pędzą w puszczy żywot samotniczy i monotonny, choć niebezpieczny. Jedyną sensacją jest dla nich zasłyszenie nowości od szczęśliwca, któremu wolno było odprowadzić transport słoni do pobliskiego miasta.



ODPOCZYNEK W KĄPIELI
Dostojny wyraz „twarzy“ kąpiącego się słonia, wskazuje nam czym jest dla niego woda.









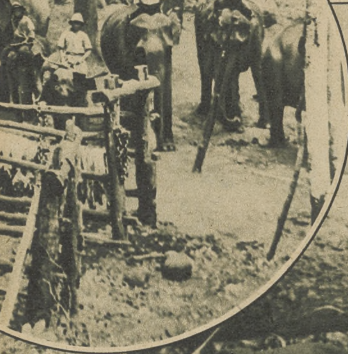


Poniżej:
PRZY PRACY
Przy spuszczaniu i wleczeniu pni przez puszczę zarosłą bambusami słonie zaopatrzone są w uprząż z grubych łańcuchów, wymoszczoną obficie miękkimi podkładami, chroniącymi ich od skaleczeń.

Na prawo:
SŁOŃ-ŁÓŻKO
Na tak wysokim legowisku jest bezpiecznie i miękko.



Fot. Witzleben i Peters





Na lewo:
WCZESNYM RANKIEM
Przy wymarszu do pracy służą już podrostki jako wierzchowce dla poganiaczy.

Muzyka wśród MASZYN



W hali maszyn elektrowni krakowskiej wypełnionej zazwyczaj turkotem maszyn i rytmem pracy, zgromadzili się niedawno robotnicy Miejskich Zakładów Zaopatrzeniowych, by posłuchać wspaniałych kompozycyj muzycznych, wielkich mistrzów tonów.

Koncert ten urządziła orkiestra Filharmonii Generalnego Gubernatorstwa, z inicjatywy Stadthauptmanna, dr. Kramera, pod batutą znanego dyrygenta Rudolfa Erba, dając pracownikom elektrowni miłą rozrywkę i odpoczynek po ciężkiej pracy.





Fot. Borek

Program obejmował: uwerturę z opery „Oberon" C. W. Webera, symfoniczny utwór „Mołdawę" Smetany, uwerturę do operetki „Zemsta nietoperza" Jana Straussa, nieśmiertelny walc „Nad modrym Dunajem" i kilka innych kompozycyj tanecznych Jana Straussa. Na zakończenie odegrano brawurowo „Marsz Radetzkiego". Słuchacze nagrodzili wykonawców gorącymi oklaskami a silny oddźwięk, jaki na nich wywarł koncert, dowiódł, że trudy kierownictwa imprezy, by urozmaicić koncert przez umiejętny dobór utworów muzycznych i dać audytorium z 700 słuchaczy, naprawdę piękną i dobrą muzykę, osiągnął całkowity sukces.

5-ty ciąg dalszy

M. A. HESSEL

A w trzy dni później wpadł, jak wiatr, przedpołudniem. Joe nie było. Anna nie wiedziała, kiedy wróci. Powiedział, że się nie ruszy — i miał szczęście. Joe nadeszła za kilkanaście minut. Prosił, czy poszłaby z nim po południu gdzieśkolwiek . . .

— Gdzie pani chce! Może na kawę gdzieś . . . potem na jakiś wieczorek artystyczny . . . Lubi pani może kino . . . — poddawał.

Poszli we dwójkę. Naprzód do kawiarni. Postawił przed nią formalnie górę ciastek. Była nieco zażenowana. Pytał czegoby życzyła sobie. Wino, czekolady, słodycze, torty — wszystko proponował po kolei. Zjadła jedno ciastko i wypiła kawę, nieco urażona. Naładował kieszenie cukierkami i poszli na jej własną propozycję do kina.

Widocznie uważał się za kogoś w prawach, bo delikatnie otoczył ją ramieniem i wsparł o siebie, by jej było wygodniej. Bezustannie podsuwał jej słodycze — zdawało się jej, że za chwilę cały u nóg się jej położy.

Była po powrocie do domu tak rozjątrzona i wytrącona z równowagi, że Anna wodziła za nią szeroko otwartymi oczyma.

Gdy przyszedł nazajutrz po południu przycichła już nieco. Siedziała na tapczanie, a on chodził bez przerwy wzdłuż pokoju. Rozpierała go wewnętrzna jakaś siła i radość. Joe miała wrażenie, że za chwilę wszystkie ściany rozstąpią się przed nim w przerażeniu, że wszystko zburzy się i runie, byle zejść z drogi . . . Brwi zbiegły mu się, ale nie gniewem, tylko buńczucznym junactwem i pewnością siebie, a oczy grały jak dwa brązowe światła. Opowiadał coś, śmiejąc się. Mówił o jakimś ogromnym mężczyźnie, a Joe zauważyła, że szalenie lubi takich wysokich mężczyzn. Przystanął, potem nagle począł iść ku niej, włożywszy ręce w kieszenie i utkwiwszy w niej swawolne oczy.

— Taooo . . . cio . . . — (zaciągał po lwowsku) — Pani taka delikatniusieńka, drobniusieńka. Po co pani taki wielki mężczyzna? Przecieżby panią zgniótł . . .

Ramiona jego wyprężyły się drapieżnie. Anna zastygła w nagłym niepokoju. Ale Joe podniosła ku niemu twarz i uśmiechnęła się ufnie. W jednej chwili znieruchomiał, jakby wrósł w ziemię.

— Cóż to za chłopak . . . On cię stopi! — kpiła później Anna, gdy wspominały ten moment.

Poprosił Joannę, by zechciała przyjechać tam, gdzie mieszkał stale.

— Jak pan to sobie wyobraża?

— Całkiem zwyczajnie! Ja pójdę spać do kolegi, a pani zagospodaruje się u mnie. Pojeździmy na nartach, użyjemy cudownej sanny . . .

— A ja zostanę na pańskiej kawalerce, tak? — tłumiła Joe wzbierający w niej gniew.

Objął obie jej ręce.

— Mieszkam u ciotki. Pani zostanie z nią, pod jej opieką, a ja na oczy się nie pokażę, chyba, że pani sama mnie zawezwie.

Oczy Joe złagodniały. Poczęli planować, układać — Stefan był przekonany, że Joe zdecydowała się.

W nocy odjechał, zapowiedziawszy niedługo przyjazd. W międzyczasie miał się listownie porozumieć z Joanną w sprawie, którą załatwiała.

Czekała na list prawie dwa tygodnie. Zniecierpliwiła się wreszcie i napisała do Gizeli dużo impertynencji pod adresem Stefana.

W trzy dni później przyszedł list. Zirytowana Joe z początku w ogóle nie chciała go otworzyć. Przekładała w rękach długą jasną kopertę, zaadresowaną bardzo starannie. Widać było, że wysilił całą swą umiejętność, by okazać się w jej oczach jaknajlepiej.

„Droga panno Joe!" — zaczynał się list. Od pierwszego rzutu oka zorientowała się Joanna, że to pisał człowiek nieprzywykły do pisania korespondencji i nie obdarzony przez naturę najmniejszym nawet darem prowadzenia jej. Pismo staranne, kaligrafowane, czyste, dużo w nim było trudu. A forma pełna prostoty wręcz zastanawiającej. Ten człowiek nie był intelektualistą — widziało się od razu.

Przepraszał Joe w serdecznych słowach za długie milczenie. Tłomaczył się nawałem pracy. Przyznawał się do winy. Przypominał jej obietnicę przyjazdu i marzył o tym.

„Co się stało ze mną od poznania pani — pisał — to Bóg jeden wie i tego opisać słowem czy piórem nie można. Ja, niegdyś silny, wesoły, drwiący z całego życia, idący przebojem, łamiący wszystko po drodze, dziś stałem się słabym, chorym, nie wiem jak to określić! Czy znajdę na to nazwę? Tak wszystko ma swój koniec" . . . A potem znów: „Nie wiem naprawdę jaki temat poruszyć, żeby Cię choć na chwilę zająć, takie ubóstwo w mej teraz mózgownicy . . ." I znowu prośba o przyjazd. I wiele innych słów. Wreszcie: „kończę i życzę wszystkiego, czego może życzyć osoba całym sercem oddana. Zawsze ten sam Stef. — Ukłony dla pani An.".

Wszystkie nerwy rozpętały się w Joannie, jak furie. Popadła w taki gniew, że Anna nie mogła dać sobie z nią rady, wreszcie poczęła przytakiwać jej we wszystkim. Łagodna, spokojna, opanowana Joe niewiadomo czemu wyszła z siebie. Wybuchnęła niepowstrzymanym potokiem szyderstw i oburzenia pod adresem nieobecnego, iż ośmielił się w ogóle łudzić przez sekundę, że ona — Joe — tam(!) pojedzie. A potem nagle porwał ją płacz szalony, niepojęty, że rozdygotała się cała, jak liść na wietrze. Wszystkie zadawnione żale, skargi, cierpienia, urazy do mężczyzn, wzgarda dla nich i śmiertelny lęk przed ich bezwzględną a egoistyczną agresją — porwały ją w jakiś straszliwy, w proch ścierający młyniec.

Nie wierzyła w żadne jego słowo i zaciskała piąstki myśląc o tym, jak tanio chciał kupić jej ufność.

— Kłamca! Łotr! To wszystko nieprawda! — mówiła w gorączkowych łzach do Anny. — Nic mu nie wierzę! nic! ani trochę! Ze mnie chciał sobie zrobić zabawkę? Ze mnie!?

Zacięła się w milczeniu i bólu. Nie odpisała oczywiście ani słowa. Kopertę podarła na strzępy, a list już . . . już . . . zgarnęła w dłoń, by go zmiąć i rzucić z pasją — ale Anna chwyciła ją za przegub ręki.

Wyciągnęła list z dygocących palców Joanny i schowała w bezpieczne miejsce. Joe — osłabiona własnym wybuchem usiadła na tapczanie i wsparłszy się na ramionach, wykręconych do tyłu spoglądała w płomień, skaczący różowo za drzwiczkami pieca. Ból nieludzki, ponad jej siły, szarpał całą jej istotą — ale już tylko wewnętrznie, jak zawsze . . . Twarz jej pobladła, oczy rozszerzyły się przejmującym smutkiem, a łzy ogromne, ciężkie, bezwolne, toczyły się na sukienkę. Wszystko w niej było zerwane, skończone. Dusza jej stała się podobna do pustyni, w której mieszka już tylko zniszczenie: zła tylko spodziewała się, a myśl o szczęściu, a zwłaszcza wiara, nie miały do niej dostępu. Najsilniejszy człowiek cierpi do pewnych tylko granic, najufniejszy i najłatwowierniejszy do pewnych granic wierzy. Zdolność wiary w Joannie wyczerpała się.

— — — a potem przyszedł ten dzień okropny, na którego wspomnienie Joe zakręciła się na leżaku, jak ugryziona w serce przez żmiję . . . Mimo upału zimno zrobiło się jej na moment:

Stefan przyjechał niespodziewanie. Anna była zła na niego — przejęła nastroje Joanny — i chłodno tłomaczyła mu, by nie czekał, gdyż Joe nie wróci tak szybko. Ale on usiadł i czekał. Joe przyszła niemal zaraz.

Zaskoczony jej widokiem zapomniał wstać z tapczanu, na którym — na jej miejscu — rozsiadł się wygodnie, mając się na prawach domownika. A Joe poczuła na jego widok, że wszystko cierpnie w niej i krzepnie. Jasne jej brwi podniosły się z pewnym lekceważeniem.

— Pan?

Wstał. Podała mu rękę. Nie rozbierając się, poczęła mówić do Anny na temat zupełnie Stefanowi obcy. W ogóle nie zwracała się do niego i w ogóle nie patrzyła na niego. Jej obojętność była tak obraźliwa, że Anna spojrzała na nią z lękiem. Ale Joe swobodnie oświadczyła, że natychmiast wychodzi, na fortepian i jeszcze tam coś . . . że na obiedzie nie będzie, wróci dopiero późnym wieczorem itd. . . . Stefan milczał, tylko patrzył, a oczy jego stawały się coraz ciemniejsze.

— Czy . . . napisze pani . . . do — do pani Gizeli — jakiś list . . . mam przyjść?

— Jak pan chce! Jeżeli nie będzie pan miał czasu, poślę zwyczajnie, pocztą. Dowidzenia!

Wstał natychmiast.

— Ja również wychodzę!

Szedł obok niej po schodach jakoś okropnie milczący i spokojny. Przy bramie podała mu rękę. Zauważyła że jest blady i zacięty bólem, starannie ukrywanym. Na moment zdjęła ją litość. Spuścił głowę nisko nad jej ręką, którą ucałował na pożegnanie. Robił wrażenie zbitego i kopniętego od progu psa. Odwrócił się i odszedł cicho, miarowo, spokojnie, z opuszczoną na piersi głową, tak drewniany, jakby nogi tylko żyły w nim. Przystanęła i oglądnęła się za nim, ale on nie odwrócił głowy. Wreszcie zniknął jej z oczu. Sumienie zatrzęsło się w niej. Pierwszym porywem serca chciała biec za nim, zatrzymać go, przeprosić — ale nagła niechęć przykuła ją do bruku.

Upłynęło siedem miesięcy . . .

On — tam — z początku codzień prawie biegał do Gizeli, pytając, czy Joe nie pisała, czy nie pytała o niego. Napastował ich tak, że wreszcie oboje — Gizela i jej mąż — delikatnie wyprosili go. Gizela nie wiedziała o niczym, ale zauważyła, że ze Stefanem dzieje się coś niedobrego. Znów wrócił. Prosił, by ona, Gizela, zaprosiła do siebie Joannę. Joe odmówiła Gizeli, dziękując serdecznie. Stefan nachodził znów, pytał, prosił, badał, za wszelką cenę chciał się czegoś dowiedzieć. Imputował Gizeli, że ktoś musiał zaszkodzić mu w oczach Joanny, że narobiono jakichś plotek i nieporozumień. Wreszcie uspokoił się. Przestał chodzić . . . Gizela straciła go z oczu na pewien czas. Potem nagle pojechała do miasta Joanny.

I tu Joe dowiedziała się całej prawdy. Gizela usłyszawszy wszystko, spoważniała i zamyśliła się głęboko.

— Wszystko, co ci mówił, to najszczersza prawda, Joe. Nie skłamał ci ani jednego słowa. To istotnie chłopak z bardzo dobrego domu, a kobieciarzem nigdy nie był. Wszyscy zauważyli, że zmienił się po powrocie i przypuszczano, że się zakochał, ale on nic nikomu nie mówił, nawet mnie.

— Prosiłam go o to! — rzekła cicho Joe, z głową opuszczoną ku ziemi.

I oto biedna jej dusza popadła w tak szaloną rozterkę i mękę, że brzemię było już wprost ponad jej siły.

— Giza, powiedz mu . . . proszę cię . . . ja mu . . . ja go . . . muszę się wytłomaczyć! Jak ja mogłam?! Gizela, proszę cię! Przez ciebie go poznałam, wytłomacz mnie! Przyjdź jeszcze, pomówimy na ten temat."

Ale Gizela nie przyszła. Musiała odjechać natychmiast, zaledwie zdążywszy wysłać do Joe posłańca.

Joe natychmiast napisała list do Stefana. W najcieplejszych słowach przepraszała go za swój nietakt i niesprawiedliwość, prosząc, by w razie przejazdu przez miasto zechciał zawadzić o jej dom, w którym będzie zawsze najmilszym gościem. „Padliśmy oboje ofiarą nieporozumienia — pisała mu. — Wyrządziłam panu nie tylko przykrość, ale i krzywdę, na którą pan nie zasłużył. Chcę oczyścić się przed panem. Nie wiem, czy jeszcze chodzi panu o to, niemniej pragnę oddać każdemu to, co mu się należy".

Gizela doniosła, że list doszedł do rąk Stefana. „Wszyscy będziemy szczęśliwi każdy z nas będzie miał to, co chce mieć, pani Gizo" — mówił do niej, gdyż mąż jej przebywał w więzieniu śledczym, posądzony niesłusznie o jakieś urzędowe nadużycie.

W kilkanaście dni później wpadł radośnie do Gizeli pytając, czy nie ma jakich listów lub poleceń do Joanny, gdyż jedzie do niej za kilka dni, a w międzyczasie mógłby nie zdążyć przyjść.

Tymczasem wróciwszy do domu zastał na stole depeszę błyskawiczną: „przyjeżdżaj natychmiast bez dnia zwłoki — Jan".

Jan, był to starszy brat Stefana, osiadły w Argentynie. Matka ich posiadała tam rozległe plantacje i olbrzymie — jedne z największych — farmy. Jan gospodarował na majątkach matki, które jako pierworodny syn miał w przyszłości odziedziczyć. Ożeniwszy się z córką farmera nie miał zamiaru ruszać się stamtąd.

Bracia byli ludźmi jednego pokroju, toteż Stefan wiedział od razu, przeczytawszy depeszę, że nie ma chwili do stracenia. Poprosiwszy Gizelę, by powiadomiła Joannę, że zaraz po powrocie będzie u niej — nazajutrz odlatywał samolotem pasażerskim do Hamburga, by w porcie pochwycić okręt na dwadzieścia minut przed odpłynięciem.

Stefan nie wiedział, czy pisać do Joe, czy nie. Domyśliwszy się ze słów Gizeli, że właśnie jego nieszczęsny list, tak okropnie wytrącił Joannę z równowagi, bał się już teraz wziąć pióro do ręki. Zresztą zdawał sobie sprawę z tego, że absolutnie nie posiada talentu zdobywania kobiet przy pomocy pióra, zwłaszcza zaś kobiet wyższego pokroju. Przecież Joe nawet odpisać mu nie zechciała i pominęła jego list wzgardliwym milczeniem . . . Mimo całej tęsknoty do Joe i radości, którą jej list wniósł w jego życie — zrezygnował już — obawiał się narzucać. Znał Joannę krótko — ale dobrze. List jej, pełen skruchy i serdeczności, mógł być po prostu tylko odruchem sprawiedliwego człowieka, który zrozumiawszy, że zbłądził i skrzywdził, ma dość odwagi, by uznać swą winę i przeprosić. Stefan nie potrafił nie myśleć o tym, choć rozumiał, że Joe jest zbyt ambitna, by od razu rzucić mu się na szyję, zresztą wiedział, że nie kochała go.

Postanowił więc wprzód stwierdzić nastroje Joanny, posługując się ciotką, która znała dobrze Gizelę, zaś Gizela miała stać się niejako „informacyjnym" łącznikiem pomiędzy nim i Joe.

Przybywszy na miejsce Stefan przekonał się zaraz w progu, że istotnie trafił na ostatnią chwilę: brata zastał w agonii, a w dwa dni później opłakał go. Jan padł ofiarą napadu. Zamordowano go, ograbiwszy wprzód do nitki, zanim zdążył zacząć się bronić. Pół żywego odwieziono do farmy i ukochanej żony, gdyż tak sobie życzył.

Pokazało się, że przyczyny sięgały znacznie głębiej: w tydzień po pogrzebie Jana, banda gangsterów, osławiona rozbojami i okrucieństwem, napadła na godną pokusy siedzibę Europejczyków. Stefan po prostu w mgnieniu oka zmobilizował domowników i służbę. Dla utrudnienia napastnikom walki kazał pogasić w domu wszystkie światła, więc tylko księżyc upiornie blady, jakby z przerażenia zalewał jasnością dziedziniec i budynek mieszkalny. Stefan porwał cztery rewolwery i wyskoczywszy na szeroko otwarte okno na piętrze, z rozkoszą prażył w dół. Chętna do guzów dusza używała, ile sił . . . Był w swoim żywiole. Kilku położył trupem na miejscu, kilkunastu zranił. Reszta poszła w rozsypkę i pierzchła, zabierając z sobą tylko tych, którzy mogli uciekać o własnej sile.

Farma była ocalona — ale Stefan otrzymał kilka niebezpiecznych postrzałów, jeden z nich niemal w samo serce, a jeden . . . zatruty! W straszliwej gorączce, nieprzytomny i majaczący, wychudzony jak szkielet, leżał już od kilku tygodni. Śmierć siedziała mu wiernie przy głowie.

Joe czuła, że dusza rozdziera się w niej na strzępy. Zima minęła zwolna, potem wiosna okrasiła świat. Joe tępa ze szczętem na wszystko co działo się wokół, dzień w dzień biegła na czerwcowe nabożeństwa (czerwiec był właśnie) i w kościele Serca Jezusowego, przed ulubionym nad wszystko Posągiem, biła niemal głową o kamienne płyty posadzki, żebrząc o cud. Tam(!) nie było już żadnej nadziei . . . a Joe z fanatycznym uporem rozpaczy prosiła o cud, wypłakując z siebie duszę.

Młody, żelazny organizm naprawdę niepojętym cudem zwyciężył wreszcie, odepchnął i śmierć i chorobę — ale Ste-

Szczęście

Szukam Cię, tęskne w dal obracam oczy . . .
Na tle mych marzeń, co się w duszy plotą,
Szukam daremnie, targany tęsknotą . . .
Nie wiem, gdzie jesteś, choć jesteś na pewno:
Gdy moją głowę senny mrok otoczy,
Wołasz mię z dala jakąś nutą rzewną . . .
Jesteś, jak błędny ognik pośród nocy . . .
Jesteś, jak echo, co się w lasach budzi
I wabi ludzi, lecz — czy jesteś dla ludzi? . . .
Mówią, że z bólu rodzisz się, z cierpienia;
Że raj otworzyć leży w Twojej mocy,
Że Ty — to wszystkie wyśnione marzenia . . .
Nie wiem, gdzie jesteś, choć jesteś na pewno:
Jeśli nie tam, gdzie zabaw dzwoni echo,
To pod słomianą, pochyloną strzechą . . .
Nie w cichych snach przy starych drzew poszumie,
Gdzie każda myśl jest mową duszy śpiewną,
To w rozbawionym blasku świateł tłumie.
Nie znam ja szlaków, co do Ciebie wiodą,
Lecz znam tę prawdę, wiem dobrze to jedno,
Że opuszczone przez Cię dusze więdną,
Że chorym duszom Ty otwierasz niebo
I jesteś cierpień życiowych osłodą,
A dla mej duszy stęsknionej — potrzebą . . .
Czekam . . . a może z nieznanej oddali
Podzwonem pieśni radosnej śród ciszy
Ucho me Ciebie pochwyci, usłyszy.
Może w mą duszę, co jak mgła jesieni,
Płynie gdzieś w bezkres na zbłąkanej fali,
Wejrzysz . . . i rzucisz snop jasnych promieni . . .

Henryk Habinowski

fan niemal zaraz po powrocie do zdrowia wpadł w ręce opryszków, którzy poprzysięgli mu naprzód zemstę, potem śmierć.

Joannie zdawało się, ze mgła okropna zasłania jej cały świat. Już nawet nie miała słów przed ołtarzem, tylko klęcząc pod stallami, skulona jak małe zwierzątko, patrzyła nieprzytomnymi oczyma, pełnymi piekących łez, w wyciągnięte słodko i zgarniająco ręce Miłosierdzia. I chyba te łzy wyprosiły nowy cud: wycieńczony, wyczerpany do ostatnich granic, wydobył jeszcze z siebie tyle siły, że poturbował napastników i uciekł. Policja kierując się jego wskazówkami wyłowiła resztki grasantów i zlikwidowała wreszcie tropioną na próżno od lat bandę.

Duszę Joanny, gdy dowiedziała się o tym wszystkim, przejęła rozpierająca duma. Gdyby się był Stefan cudem Bożym przemienił w najpiękniejszego mężczyznę na ziemi, jeszcze nie zyskałby w jej oczach tyle, ile zyskał. Po prostu z zapartym od zachwytu tchem myślała o tej wspaniałej junackiej brawurze.

Wspominała z rozkoszą każde jego słowo, każde spojrzenie, każdy ruch. Czytała dziesiątki razy jego list, ocalony roztropną a przewidującą ręką doświadczonej Anny, — te słowa proste, a pękające od serca, niegdyś o mało co nie zniszczone jednym ściśnięciem dłoni, dziś największy jej skarb, największa radość osamotnionego i głodnego serca. Niepojęte zmiany odbywały się w niej z dnia na dzień — aż wreszcie w duszy jej wybuchło jak pożar jedno olbrzymie pragnienie: by wrócił! I w udręce na wskroś kobiecej trwogi prosiła wciąż — jak niegdyś w ów okropny czerwiec — by serce jego wytrzymało próbę. Bezbrzeżny smutek przejął ją całą. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma prawa ani wymagać, ani — nawet — spodziewać się. Stefan był młody i rozpierało go życie, a na świecie dużo jest kobiet pięknych, piękniejszych od Joe ... i młodszych! W dodatku zadała ból, ból wielki i niezasłużony, pozwoliła by przez siedem miesięcy ból ten trawił zwolna serce ... i miłość w nim zamkniętą! Wyrządziła krzywdę i obraziła. Czy on potrafi, czy będzie chciał przebaczyć

— Gdzie jesteś? Co się dzieje z tobą? Czy myślisz o mnie? Czy bodaj pamiętasz jeszcze moje imię? — zapytywała go w nocy, wśród tłumionych łez. Całe jej życie stało się jednym wielkim cierpieniem i jednym olbrzymim czekaniem. Tymczasem sprawy na farmie przybrały taki obrót, że o powrocie do Europy na razie nie mogło być mowy. A potem przyszła powódź tak potworna, że najstarsi ludzie nie pamiętali takiego kataklizmu: żywioł pozrywał tamy, regulacje i mosty, zmiótł z powierzchni ziemi tory kolejowe, jezdnie, szosy i drogi. Prawie na rok Stefan został odcięty od cywilizowanego świata — zerwał się automatycznie listowy kontakt z rodziną. Z prasy tylko orientowano się w sytuacji. I nareszcie krótka depesza do rodziców: „Jutro wsiadam na okręt — Stefan". To była ostatnia wiadomość. Wszelki słuch o Stefanie zaginął. Joe została wśród lodowej pustki.

Jakżeż okropnie prześladował ją los! Przy tym znając, jak chyba żadna kobieta na świecie, duszę mężczyzny, wiedziała, że nie powinna się łudzić. Zresztą dobrowolnie wykopała przepaść między Stefanem i sobą — cokolwiek by uczynił, był wytłumaczony. Joe rozumiała to, zdawała sobie z tego sprawę i to potęgowało jeszcze jej gorycz, żal i tęsknotę. Bo pomijając już fakt, że okazał się prawdziwym mężczyzną, godnym kobiecej miłości, okazał się też człowiekiem prawdomównym i prawym, zasługującym na zaufanie i godnym szacunku. I teraz oto, leżąc w sierpniowe popołudnie na leżaku, w cieniu morwy, myślała z bezmierną tkliwością, ale i bezmiernym bólem w sercu:

— Czy wrócisz, Stef? czy wrócisz? Czym będziesz?: Słońcem, zaświeconym miłosierną ręką Boga, który każdy ludzki ból wyrównuje wreszcie tą samą miarą szczęścia, czy również m e t e o r e m ... jeszcze jednym zniszczeniem! jeszcze jedną ułudą! jeszcze jednym dowodem, że biada kobiecie, która uwierzy i zaufa ... O, ty! przyjęty i wzgardzony, obraźliwie skrzywdzony a teraz czekany tak bardzo! Przełam dobrymi rękami życie moje i odmień je tak, jak przełamałeś i zmieniłeś duszę moją!

Serce Joe biło nierówno, umęczone i biedne. Jasne przesmutne oczy zdawały się wśród rozproszonych po niebie obłoczków wypatrywać złotego jak słońce błysku pluszowych oczu. A nad wszystkim górowało wyolbrzymione do granic śmierci chyba pragnienie, by wreszcie ktoś ją objął, utulił i uciszył, ucałował jej oczy spłakane i przywrócił rytm zbiedzonemu sercu, a cichość starganym nerwom ... I coraz bardziej jakoś pragnęła, by ten ktoś, to był właśnie Stefan, właśnie on ...

„... oczywiście, może się zdarzyć, że nie przyjadę — jeżeli nie będę żył ..." — przypominały cichusieńkim śpiewnym szeptem wspomnienia — i resztki ufności.

„...wszystko, co posiadam i kiedykolwiek będę posiadał, już dziś do pani należy — jeżeli pani się na to zgodzi ..." — dzwoniło koło uszu najdroższe wspomnienie słów, jakie słyszy w swym życiu jedna kobieta na sto tysięcy, albo jeszcze mniej ...

I pchały się po prostu same w oczy starannie wypracowane litery listu:

...czego tylko życzyć może osoba całym sercem oddana...

... zawsze ten sam ...

Smutno i tkliwie uśmiechała się w przestrzeń daleką, nieznaną, kryjącą go w sobie bezlitośnie.

Czy jest jeszcze „zawsze ten sam"?? Czy pozostanie „zawsze ten sam"?? Czy takie nawet słowa ją zawiodą? Czy takie nawet uczucie okaże się podatnym na wpływy wiatrów losu?

Tego nikt nie mógł przewidzieć — nie wiedziała tego przede wszystkim Joe — — —

— — — i rzuciła całą resztę życia na jedną kartę!

W targaninie i męce klękała przed cudnym Posągiem S e r c a, które wszystkimi sercami rządzi ... i biedne swoje, nad wszelką ludzką miarę udręczone serce, kładła w ostatniej już wierze, w ostatniej nadziei ... ostatniej miłości ... — wśród czerwcowych kwiatów.

II.

Słońce cichło na zachodniej stronie nieba. Cień morwy wydłużył się śmiesznie. Różane refleksy przesączyły się przez gałązki i poczęły skakać pieściwie po włosach Joe.

Usiadła na leżaku. Miała dość leżenia. Zmęczyły ją myśli, a nawet samo leżenie. Cóż nie męczyło jej teraz? Najwięcej męczyło to, że w ogóle było się ... i żyło ...

Zgrzyt kroków na żwirowej ścieżce przerwał jej samotność. Służący podchodził, niosąc codzienną prasę, tygodniki i czasopisma artystyczne, abonowane przez Joannę.

Joe pospiesznie wyciągnęła rękę. Znalazła jakieś odprężenie, odskocznię. Poczęła — siedząc z opuszczonymi ku trawie stopami — wertować tygodnik „Pion". Było to czasopismo malarzy i rysowników oraz rzeźbiarzy, w którym reprodukcje prac Joe znajdowały się dość często, wraz z recenzjami krytyków.

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła Joannę, była reprodukcja małego obrazka, w oryginale 15×20 cm jak opiewało objaśnienie, noszącego tytuł „C i o s". Joe szybko spojrzała na podpis, by upewnić swe domysły. Nie pomyliła się. Podpisano: „Nik". Był to młody talent, wybijający się dopiero na łamach Pionu. W poprzednich latach swej pracy artystycznej Joe, która zaczęła pracować bardzo wcześnie, nie stykała się z tym nazwiskiem. Dopiero kilka miesięcy temu uderzyły ją niektóre prace jego, śmiałością treści i uczuć. Jedna zwłaszcza nazwana po prostu „Kocham ..." niedawno na dłużej przykuła jej uwagę. A teraz, czytając objaśnienie do „Ciosu" dowiedziała się, że właśnie „Cios" jest niejako następstwem logicznem „Kocham".... rysowany tym samym sposobem, jakby cykl.

Ciąg dalszy nastąpi

Poeta i nagrobki

Pewien znany poeta lubił wałęsać się po cmentarzach, a także potrafił przesiadywać tam godzinami. Aż trudno uwierzyć, że ten przystojny mężczyzna z zadartym nosem i z uśmiechniętymi oczyma był w gruncie rzeczy wielkim melancholikiem.

W poszumie drzew cmentarnych znajdował nieraz tematy do swych poetyckich utworów. A często — jak sam przyznawał — te tematy wypływały z najgłupszych przyczyn.

I tak: do piosenki „Mów do mnie jeszcze" przyczynił się nagrobek z napisem

„Tu spoczywa nieodżałowanej pamięci
Emilia Gadulska . . .

— A więc mów, mów jeśliś taka gadulska . . .

No i piosenka gotowa.

Utrzymywał, że na cmentarzach można się wiele, wiele nauczyć, a przede wszystkim nauczyć się żyć. Nigdzie, tak jak na cmentarzu, znikomość nasza tak wymownie do nas nie przemawia.

Mówił również, że często zdarzało mu się trafić na bardzo wzniosłe, ciekawe lub wprost śmieszne napisy.

I cytował przykłady:

Na nagrobku zmarłej dwudziesto paroletniej kobiety wyczytał co następuje:

„Chciałeś — żyłam
Kazałeś — umarłam
O Boże!
Zbaw bo możesz!"

Cóż piękniejszego można by wymyśleć?

Na innym nagrobku napisane było:

„Cud to był nielada
Sto trzy lata przeżyła w zgodzie
z Bogiem i rodziną . . ."

I jeszcze na innym:

„Żyła, żyła, aż umarła
na zapalenie gardła."

Śmiał się długo przy granitowej płycie — grobu małżonków Macieja i Agnieszki K. — na której było wypisane:

„Agnieszka K . . .
Czeka na męża"

A czekała długo. Pan Maciej bynajmniej się nie spieszył do swej połowicy. Trzydzieści lat minęło od czasu jej zgonu, a miejsce dla pana Macieja nie było jeszcze zajęte.

— Jakiś uparty Maciej . . .

I podśpiewywał:

„Umarł Maciej umarł i leży na desce,
gdyby mu zagrano podskoczyłby jeszcze,
bo w Mazurze itd.

Wspomniał też czasami o tych niepocieszonych wdowach, które każą rzeźbiarzom portretować się jako anioły śmierci na grobach mężowskich, a które po paru latach same nie wiedzą co zrobić z tym fantem, wtedy gdy wstępują w powtórne związki małżeńskie.

Szary nagrobek na Powązkach, na którym jest wypisany tylko jeden wyraz „Maria", dał poecie wiele do myślenia.

Kimże była ta Maria, której nazwiska, a nawet daty śmierci nie śmiano wypisać? Kochał się w niej po prostu i przez dłuższy przeciąg czasu można go było zawsze znaleźć przy tym grobie. Widział ją piękną, młodą, uwielbianą. Unoszony fantazją snuł całe legendy o jej życiu. Wyobrażał sobie, że tak jak Desdemona padła ofiarą zazdrosnego kochanka.

Dziecięce groby napawały go niewypowiedzianym smutkiem. Gdzież sprawiedliwość? Dlaczego te biedne małe kwiatuszki więdły w zarodku? Za czyje winy cierpiały? Jakie przekleństwo kazało im pojawić się, na tak krótką chwilę, na tym padole łez?

Zdumiony był także niezwykłą ilością grobów ludzi zmarłych w zaraniu życia. Szesnastoletnie dziewczyny i dwudziestoletni młodzieńcy byli — jego zdaniem — nieszczęsnymi ofiarami gruźlicy. A niebaczne związki małżeńskie przyczyniały się do takich dramatów.

Mówił:

— Pod groźbą kary śmierci zabroniłbym osobnikom, w których rodzinach grasuje ta choroba, zawierać śluby . . .

Na grobach samobójców wysiadywał długo. Pociągała go zagadkowość przyczyn targnięcia się na własne życie. Zazdrościł tym ludziom ich determinacji i odwagi. Nie uważał ich bynajmniej za winowajców, a za bohaterów.

Na mogiłę Wandy nieraz kierował swe kroki. A czy wierzył w legendę o jej śmierci pozostaje niedopowiedziane.

W dnie zaduszne nosił świeczki po kieszeniach i zapalał je na grobach opuszczonych przez Boga i ludzi. Uważał, że w tym dniu każdy nieboszczyk ma jednakowe prawo przypomnieć się żyjącym.

Niejeden też kwiatek kładziony był ręką poety na takie zapomniane groby.

— Kradnę je po prostu z grobów bardziej uprzywilejowanych . . .

A cieszył się jak dziecko gdy mu pokazano kiedyś przy szosie, pod rozłożystą nadwiślańską topolą, okazałą kamienną figurę wystawioną Panu Bogu przez hrabiego Ł.

O tę to właśnie topolę samochód hrabiego roztrzaskał się przed laty zabijając na miejscu dwóch jego przyjaciół i szofera.

Jeden tylko hrabia wyszedł cało z tego wypadku, a znanym był pyszałkiem, więc wypisać kazał:

„A gdy Pan panu życie tutaj zbawił
Wtedy pan Panu figurę postawił."

A już najwidoczniej cała rodzina hrabiego Ł. była za panbrat z Boską familią, gdyż małżonka hrabiego, przesyłając do Częstochowy srebrny wieniec dla Matki Boskiej, kazała na nim wypisać:

„Teofila — Marii"

„Hazet"

Piekło

Zimne, kamiennoszare, wystygłe „daleko",
wilgna, lepka obecność bezcielesnych mglic
i rzucony w bezdennie trupi strzęp człowieka —
spopielałe, bezduszne, lodowate Nic . . .

Pustka; Niewymierzona, nieobjęta pustka,
oślizgłą, krwistą ciemnią kapie w oczu skrzep
i w nieruchomy chichot, wciśnięty na usta
przekleństwem wszystkich Bogów, katem wszystkich Nieb!

Cisza. I w martwy spokój zamarzłe: „dlaczego" —
gdy nad ciężarem pustki przemknie Wielki Wóz
i pęknie z jękiem skarga ściętych w chichot ust:
— O! . . .
— Niebo! . . .

Bronisław Król

S Z K I C E   W A R S Z A W S K I E
Tekst — A. Mur., Rys. — Set.



Jak spędzić popołudnie? Spacer? Kawiarnia? Mamy oprócz tego teatry i teatrzyki, gdzie możemy podziwiać często . . . podkasaną muzę.

Pusty hall, przyćmione światła, a na sali..., na sali wszystkie miejsca zajęte. Panowie czynią bohaterskie wysiłki, aby poprzez męskie kapelusze zawadiacko nałożone na głowy pań ujrzeć scenę. Czasem nawet uda się coś niecoś zobaczyć. Pochylają się na widowni głowy ku sobie. To mniej powściągliwi widzowie wymieniają uwagi.

DIALOG POUCZAJĄCY

— Jaki ten Zbyszek miły!

— Który? — młody człowiek podejrzliwie rozgląda się wokoło.

— Jak to który?! — oburza się panienka. — Zbyszek R . . . Jak on pięknie śpiewa i jaka prezencja!

— Boję się, że marynarka zapłącze mu się między kolanami.

Kobieta piorunuje wzrokiem towarzysza, który z a c z y n a podejrzliwie:

— M ó w i s z „Zbyszek", czy ty go znasz?

— Też pytanie! Co dzień spotykam go!

— Gdzie?! — krzyczy mężczyzna na głos.

— W bramie. Mieszka piętro niżej. Powinien mi się nawet przedstawić, ale mężczyźni ze swoją zarozumiałością . . .

A tymczasem aktorzy robią wszystko dla publiczności.



WSZYSTKO DLA PUBLICZNOŚCI

głoszą afisze, to samo powtarza konferansjer. Czyżby były inne możliwości w tym kierunku? Nie, ale niech publiczność wie o tym. Przecież może znaleźć się ktoś niedomyślny.

Dla publiczności zmienia się repertuar. To zrozumiałe. Aktor mógłby grać tę samą rolę przez całe życie, tak jak buchalter wpisuje wciąż te same cyfry. Tylko publiczność chce widzieć swych ulubieńców w nowych rolach, słuchać nowych przebojów.

Aktorki mają w tym kierunku ułatwione zadanie. Jeśli nie mogą zbyt często zmieniać repertuaru, to zmieniają toalety. Jak to wygląda? Bardzo prosto. Bierze się nożyczki i skraca bądź też wycina dekolty w sukni. Im częściej następuje podobna „z m i a n a" repertuaru, tym większy sukces. Nasza pramatka Ewa miała rację. Węża i mężczyznę zawsze można uwieźć listkiem figowym.

W gorszym położeniu znajdują się aktorzy płci męskiej. Taki nie może skracać spodni . . . Ale za to może wystąpić z chóru i grać role dramatyczne, bądź też stać się solistą.

Dla publiczności konferansjer mówi stare kawały.

— Pan X spotyka pana Y, udają, że się nie znają... itd. — kończąc — Stary kawał, ale musiałem powiedzieć państwu, bo... zmienia się dekoracje do następnego numeru.

Na czym tu polega dowcip? Konferansjer myśli, że powiedział nowy „kawał", a publiczność śmieje się, że „kawał ma taką brodę" (przy tym trzeba wykonać ruch dłonią w o k o l i c y p a s a).

Wchodząc do teatru, należy pokazać bilety i wtedy:

MOŻE PROGRAM!

Warto wziąć program. Nie ze względu na treść, gdyż na ogół nikt nie trzyma się podanej w nim kolejności numerów. To sobie zastrzega dyrekcja, ale bileterki w a r t e s ą „grzechu".

M ł o d e, fertyczne i przeważnie ł a d n e panny. Może czasem i mężatki. Rozkoszne dziewczęta. Czasem, jeśli przyjdzie ktoś znajomy, to nawet doprowadzą do właściwego miejsca wskazanego na bilecie. Nie róbmy jednak plotek. Bileterki są naprawdę miłe.

Jeśli nie masz ochoty pójść do teatru, to

SREBRNY EKRAN

ilustrujący dozgonną miłość, bądź też sensację i dreszcz emocji zaspokoją wszelkie upodobania zwolenników kina.

Nie jest wprawdzie tak łatwo zobaczyć obraz. Przede wszystkim trzeba przejść przez długi „ogonek" zanim dostanie się do kasy po upragniony bilet. Czyżby to znaczyło, że mało jest kin? Nie. Po prostu ludzie lubią ten rodzaj rozrywki po pracy.

Nie można nudzić się w Warszawie. Każdy znajdzie „coś" dla siebie.

— Więc dokąd dzisiaj pójdziemy?

— Jest się nad czym zastanowić, gdyż jednego wieczoru nie zdąży się pójść i do kina i do teatru.



BONUŚ SIĘ ŻENI!...

Właściwie nie żeni się, tylko pragnie się ożenić . . ., a najwłaściwiej jednak, to; poczciwa matka chce i to koniecznie, by jej Bonus wreszcie się ożenił. Ale nie dzieje się to tak łatwo. Rodzi się duży kłopot, gdyż Bonus, to człowiek wybredny w tej materii, jak każdy aptekarz, a przy tym idealista, jak żaden aptekarz.

Snuje się więc pan magister po scenie, cedząc przez zęby zasady, którymi kieruje się przy wyborze połowicy.

— Szukam kobiety z duszą, z charakterem . . . z kryształowym charakterem i szlachetną duszą. Gdyż tylko te walory są istotne, reszta: mamona.

— Czemuż to, panie magistrze, szukasz tylko i wyłącznie jakiejś tam kobiety z duszą i charakterem? — indaguje laborant.

— A bo widzisz, mój ty głuptasku, z każdą żoną pożycie przedstawia się podobnie: piękność przeminie, majątek diabli wezmą, a kula u nogi pozostanie . . . — odpowiada aptekarz, który za chwilę również dobrze i łatwo potrafi wygłosić inną, wprost przeciwną sentencję.

— Czemuż to, panie farmaceuto, u was w „inteligencji" żenią się tylko z majątkiem?

— Bo musisz zrozumieć, że najmądrzejszy nawet mąż, zgłupieje bez pieniędzy wobec wymagań żony . . .

Ale idźmy dalej po ścieżce akcji, jaką sobie autor sztuki nakreślił.

Ze skrytą myślą o ożenku, udaje się aptekarz do młodej wdowy, pragnącej takiego mężczyzny, który kochałby wyłącznie ją, a nie majątek i masę spadkową po nieboszczyku.

I o dziwo! ten właśnie idealny kandydat na męża — aptekarz, wygłaszając swe niewzruszone poglądy, zerka wybałuszonymi oczami, jak sroka w kość, na wyraźnie odsłonięte kolanka młodej wdówki.

Dla poznania istotnych zamiarów aptekarza, wdówka przebiera się za pokojówkę. Podobnież aptekarz, dla rozpoznania duszy i charakteru wdowy, podszywa się pod płaszczyk swego sługi-laboranta.

Na tym zabawnym „qui pro quo" zbudowana cała sztuka.

Autor z dużą kulturą powiązał komizm postaci i sytuacji. Tematy dla swoich sztuk czerpie p. Turski z życia mieszczaństwa krakowskiego. Sfery te zna autor doskonale, stąd wszystko w komedii drga życiem i temperamentem. W opracowaniu każdego scenicznego momentu, jest poniekąd pedantyczny; patrzy na wszystko dokoła, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu, nie daje przeminąć jednej chwili, bez dobycia z niej tego, co było w niej śmiesznego.

Scena końcowa komedii pt.: „Bonus się żeni!" St. Turskiego, wystawionej w Starym Teatrze w Krakowie, dnia 25, 26 i 27 VI br. Od lewej: Mira (Lidia Kownacka), Bonus (Miecz. Miciński), Ciocia Basia (Leonia Krajewska), Hanka (Maria Tylczyńska) i Józef (Eug. Załucki). Fot.: Borek



Stefan Turski, to urodzony talent komediowy, nie potężny, lecz wielki, nie głęboki lecz trzeźwy.

Jakkolwiek komedia ta niczego nowego nie wniosła (przeróbka „Czaru munduru") to jednak posiada wszystkie pisarskie zalety, tego doskonałego pisarza.

W sztuce tej okazano w całej pełni, jak autor, mając już raz opracowany temat („Czar munduru"), trzymając się poleceń swego dobrego smaku, użył w szlachetnej mierze wszelakich komediowych ingrediencji, jak równo i pewnie idąc drogą szczerego artyzmu, doszedł do nakreślonego w swej drugiej koncepcji celu, nie zboczywszy nigdzie dla szukania nowych, ubocznych a tanich efektów.

I choć na pierwszy rzut oka wydaje się nam, że jest to tandetna bałucczyzna, jednak przy dokładniejszym rozpoznaniu, przyznać musimy, że typy te, to okazy nadzwyczajne i oryginalne, z gębami wybornie pomalowanymi swoistą farbą krakowską.

Wszystkie śmiesznostki tej komedii doskonale podcieniowuje niewielki ale naprawdę doborowy zespół, kierowany wprawną ręką dobrego reżysera. Tym razem rozpoznano w p. Fabisiaku reżysera w najlepszym stylu i talent pierwszorzędny, mający przy tym do rozporządzania kulturę i bogate doświadczenie. Dzięki niemu sztuka ta pod względem opracowania reżyserskiego wyraziście odbija na tle repertuaru, jaki oglądaliśmy na tej scenie, na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy.

Maria Tylczyńska w roli Hanki stworzyła nadspodziewaną kreację, wykazując duży talent i zdolności aktorskie. Tylczyńska była: doskonałą, jako usłużna pokojówka, komiczną: w roli swej pani, niepowściągliwa, w swoim zapale miłosnym, obliczonym z plebejską chytrością na „złapanie" męża, szczera i bezpośrednia w „podchmieleniu"; wreszcie: pyszna, w osłupieniu wobec niespodziewanego rozczarowania i wspaniała w swej urażonej dumie. Wszystkie kobiece pożądania i pragnienia jakie rozpętano w młodej pokojówce wypadły w jej opracowaniu efektownie.

Lidia Kownacka z umiarem i inteligencją wczuła się w sytuację młodej wdówki; była w miarę naiwna i w miarę doświadczona. Przyznać trzeba, że artystka ta, mająca za sobą wysoką szkołę i dużą praktykę sceniczną, nie miała sposobności w tej roli rozwinąć przed nami całego wachlarza swego talentu i możliwości. Pragnęlibyśmy ujrzeć ją w poważniejszych rolach.

Leonia Krajewska godnie reprezentowała świetny typ naszych starych ciotek, zacofanych i skostniałych w poglądach, konserwatyźmie i tradycji. Długoletnie doświadczenie sceniczne i rzetelny talent p. Krajewskiej mówią same za siebie.

Eugeniusz Załucki ma już swoją starą i zapracowaną markę. Fizjognomia, mimika, wymowa — to efektowne akcesoria jego humoru. Potrafi niemal każdą rolę zagrać pomysłowo i z temperamentem. Doskonałą grą w roli laboranta Józefa dał dowód talentu nieluzinkowego.

Subtelny **Mieczysław Miciński**, dzięki swej wrodzonej inteligencji, z gracją podszedł do roli aptekarza Bonusia, dając postać opracowaną w najdrobniejszych szczegółach. Artysta ten nadaje się doskonale do ról o głębokiej kulturze duchowej i bogatym podłożu psychologicznym.

Całość wypadła bardzo dobrze, sprawiając nam miłą niespodziankę, która poniekąd była powodem naszych zbytnich, lecz szczerych zachwyceń.

— matiola —

— Pan pozwoli, że przedstawię panu moją żonę. — Das Illustrierte Blatt

— Karolu, znów dzisiaj się nie ogoliłeś?! — Das Illustrierte Blatt

Bokser: — No, jak się panu podobała pierwsza lekcja boksu?
Uczeń: — B . . . b . . . bardzo . . . ale czy nie mógłbym następnych pobierać systemem korespondencyjnym?

•

Pan Leon był bardzo nieśmiały. Nie mógł zdobyć się na odwagę, by oświadczyć się pannie Stefie. Postanowił więc załatwić to telefonicznie.
— Halo! Czy to panna Stefa?
— Tak! To ja.
— Czy zgodzi się pani zostać moją żoną?
— I owszem. A kto mówi?

•

Starający się o rękę panny rozmyśla:
— Odmówiła mi pocałunku! Co to może znaczyć? Może się dowiedziała, że nie mam grosza . . . A może, że mnie wyrzucono z posady . . . A może, że się mnie wyparła rodzina?
— . . . No, a może jadła czosnek? . . .

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Dlaczego pan ma tak smutną minę?
— Nie mogę zaspokoić pretensji swych wierzycieli.
— No, to z tego powodu nie pan, ale wierzyciele pana powinni się martwić. — Die Grüne Post

— Czy pan zna doktora Pigulskiego? Byłego lekarza więziennego?
— Czy ja go znam? Przez całe lata był on moim lekarzem domowym.

•

Ojciec do sześcioletniej córeczki:
— Co ty robisz, Marychno?
— Maluję lalce buzię na czerwono.
— A czym to robisz, dziecino?
— Wódką.
— Wódką? Przecież od wódki nie nabierze buzia czerwonego koloru!
— A właśnie, że nabierze! Przecież mamusia zawsze mówi, że tatuś ma nos czerwony od wódki.

— Już często zapytywano mnie, czybym się wreszcie nie zdecydowała wyjść za mąż.
— Kto cię pytał?
— Rodzice i rodzeństwo.

•

On nazajutrz po ślubie: — Jakim ja szczęśliwy moja droga, że tworzymy jedną całość.
Ona: — Tak, mój najdroższy, ale mimo to lepiej będzie, gdy zamówisz dwa obiady.

•

— Proszę, niech pani będzie łaskawą przywołać do siebie swego psa. Czuję jak mi już pchła skacze po nodze.
— Azorek do nogi tu, ten pan ma pchły.

•

— Nie mogę cię pojąć. Porzucasz męża, którym zachwycają się wszystkie kobiety.
— Właśnie dlatego.

•

— Czy wiesz, że żona Postołowi uciekła?
— Nie może być. No, a co on na to?
— Co ma robić — już się uspokoił . . . ale myśleliśmy z początku, że zwariuje z radości.

•

— Czy ci zagroził nim cię pocałował?
— Tak, tatusiu, powiedział: jak krzykniesz, to cię już nigdy nie pocałuję.

•

— Jak ty wyglądasz! Twarz obandażowana jak po jakiej bójce. Może odprowadzić cię do domu?
— Dziękuję ci właśnie stamtąd wyszedłem.

•

Dwaj złodzieje, z których jeden ukradł krowę, a drugi zegarek siedzą w areszcie w jednej celi.
— Kolego, która godzina? — pyta pierwszy?
— Zdaje mi się, że już czas doić krowy — odpowiada drugi.

•

Żona: — A co? nie dobra fotografia?
Mąż: — Świetna! To zapewne błyskawiczne zdjęcie.
Żona: — Z czego to wnosisz?
Mąż: — Bo masz na niej zamknięte usta.

•

— Jakto? Zapisuje pan po swojej śmierci cały majątek żonie, ale tylko w tym wypadku, gdy wyjdzie drugi raz zamąż?
— Tak. Chcę, żeby choć jedna osoba szczerze opłakiwała mą śmierć.

•

— Słyszałem, że pańskie dzieci są bliźniętami?
— Rzeczywiście, tak się nam zdawało, gdy były małe. Ale teraz moja córka jest młodsza od syna o pięć lat.

•

Z tymi tramwajami to zawsze tak: kiedy się nie czeka na tramwaj to nie trzeba wcale czekać, ale kiedy się czeka to człowiek musi czekać i czekać bez końca!

•

Pewien bogacz zwiedzając ogród zoologiczny mówi do dyrektora:
— Chętnie kupiłbym całe pańskie zoo dla moich dzieci do zabawy.
— A ja chętnie kupiłbym pańskie dzieci do mojego ogrodu zoologicznego — odpowiada dyrektor.

•

Mała dziewczynka przypatruje się w ogrodzie zoologicznym słoniowi i pyta się swojej mamusi:
— Mamusiu, czy słonia także bocian przynosi w dziobie?

•

Lekarz: — Pan choruje nie na jedną chorobę, ale cały tuzin chorób ma pan w swoim organizmie.
— No, to może dałby mi pan doktór jakiś rabat?

•

Panna Klarcia tłucze już dwie godziny w fortepian. Matka z dumą mówi do gościa:
— Moja córka opanowała już zupełnie grę na fortepianie, może z nim robić, co tylko zechce.
Gość nieśmiało:
— A czy mogłaby go też zamknąć na chwilę?

•

— Co pani przyszło do głowy, aby profesorowi S. kupić dla jego dwóch chłopców prezenty? Pani, która stara się mu zawsze zrobić na złość?
— Właśnie dlatego! Dla jednego chłopca kupiłam trąbkę, a dla drugiego bęben.

Historia bez słów — Das Illustrierte Blatt

KĄCIK KARYKATURZYSTY

Historia z plakatem kinowym...
albo pan profesor niedowidza...
Rys. Karol Kwiecień — Tarnopol

ROZRYWKI UMYSŁOWE

CIĄGÓWKA

ul. „Dzidka" z Warszawy.

Objaśnienie: Odgadnąć znaczenie 14 wyrazów. Litera końcowa każdego wyrazu jest zarazem początkową następnego. Litery w oznaczonych kratkach dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. choroba zakaźna, 2. najdrobniejsza cząstka, 3. zmierzch, 4. klej rybi, 5. miara, 6. męskie imię biblijne, 7. zdrobniałe imię żeńskie, 8. istota pozbawiona barwika skóry, 9. owoc, 10. imię psa, 11. pierwiastek, 12. motyl nocny, 13. karta, 14. narzędzie do przesiewania.

KONIKÓWKA

ułożył J. W., Przemyśl.

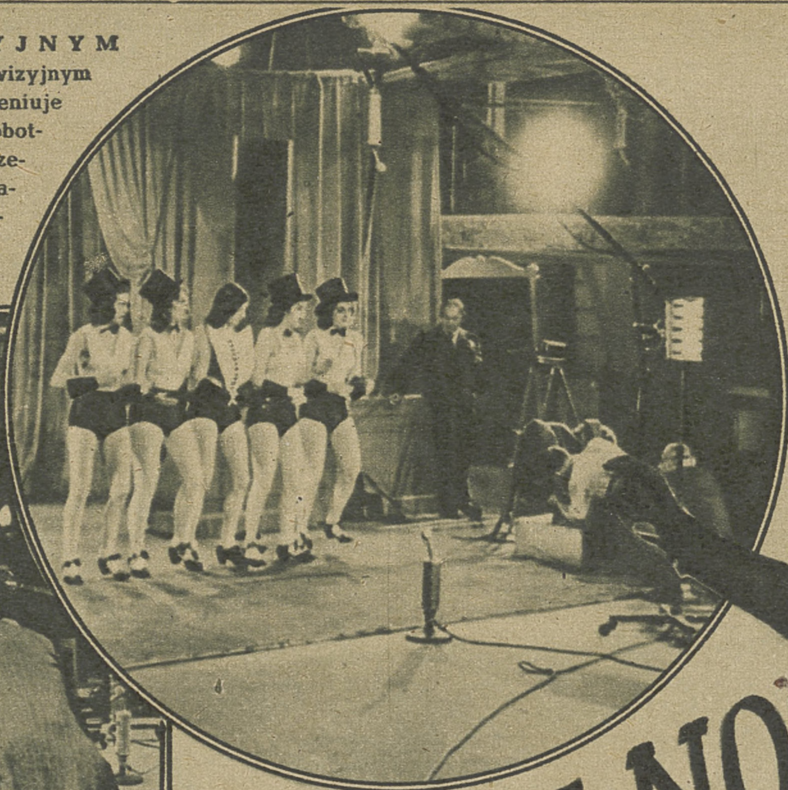
			ło	niej			
			łań	tak			
		z po	pięk	wy	szy		
nie	ni	w do	wspi	zos	świat	gó	chmu
	naj	po	rad	naj	nad	jest	
	łach	nie	się	ten	ry	ry	

Przechodząc ruchem szachowego konika, odczytać piękne powiedzenie Nitschego.

PIĘKNE NOGI PRZED OBIEKTYWEM

W ATELIER-TELEWIZYJNYM

Silne reflektory płoną w studio telewizyjnym i prócz oślepiającego światła promieniuje z nich żar wprost nie do zniesienia. Robotnicy co chwila przekładają kable i przesuwają tam i z powrotem olbrzymie kamery zaopatrzone w koła. Brzmią nawoływania. Wśród wielu technicznych sprzętów znajdujących się w atelier i mężczyzn snujących się po nim w ubraniach roboczych i zwykłych, zjawia się kilka ładnie zbudowanych dziewcząt o uróżowanych policzkach, w lekkich strojach tancerek. Nie mogą one ustać ani minuty spokojnie i poruszają się na deskach w tanecznych, rytmicznych ruchach. Są to uczennice ze studium tanecznego, które po raz pierwszy wystąpią dziś przed telewizorem. A gdzie publiczność? Publiczność znajduje się w najrozmaitszych zakątkach świata, wszędzie tam, gdzie skonstruowano urządzenia z aparatami odbierającymi telewizję. Nadawany codziennie przez kilka godzin seans telewizyjny ma bardzo urozmaicony program.



Na lewo w kole: Jedynie tancerki i ich bezpośrednie tło filmuje się i przesyła w dal na falach eteru.



Polowanie na zgrabne nóżki dziewczęce z reflektorami i kamerą telewizyjną.

Na prawo: Tu-stepp przed kamerą telewizora.

Poniżej: Przed występem należy być elastycznym.

Tuż przed nadaniem sygnału rozpoczęcia seansu telewizyjnego, ludzie obsługujący kamery, kontrolują jeszcze raz urządzenia transmitujące, a tancerki ćwiczą swe taneczne pas.

Fot: Eurofot